

Tekst ten ukazał się w formie przeredagowanej i skróconej w gazecie  
“Polska – The Times”, 5-7.11.2010, Forum s. V  
Pod tytułem *Chiny stawiają na miękki kapitalizm*

Krzysztof Gawlikowski

### **Czy w Chinach zapanuje demokracja?**

W „Polsce” (15-17.10. 2010) ukazała się rozmowa z Françoisem Godementem, francuskim badaczem polityki Chin, gdzie przeprowadzający ją dziennikarz przywołał moje opinie na temat demokracji wyrażone wcześniej w dość obszernym wywiadzie w tym samym piśmie (17-19.09.2010). Miałem rzekomo powiedzieć, iż „nie ma co liczyć, że uda się wprowadzić w Chinach demokrację, gdyż ten ustrój w żaden sposób nie pasuje do specyfiki i kultury tego kraju. Jakiegokolwiek próby jej wprowadzania nie dość, że będą nieskuteczne, to jeszcze mogą zablokować rozwój tego państwa”. Chciałbym podkreślić, że opis ten nie oddaje trafnie mego stanowiska. Jeśli red. Agaton Koziński tak zrozumiał moje wypowiedzi – widać wyraziłem je nie dość jasno i biję się w piersi. A ponieważ podobnie mogli je zrozumieć inni czytelnicy, chciałbym doprecyzować swoje tezy, tym bardziej, iż dotyczą kwestii ogromnie ważnej dla sytuacji politycznej w świecie i dla samych Chin, a także dla polityki Zachodu, którego częścią jest obecnie Polska.

Przede wszystkim chcę zwrócić uwagę, że demokracja jest ustrojem politycznym, który – jak każdy ustrój – ma swoje wady i zalety, a dla uformowania się i w miarę skutecznego funkcjonowania wymaga także pewnych warunków społeczno-gospodarczych, instytucjonalnych, a nawet kulturowych. Nie jest to utopia gwarantująca powszechną szczęśliwość i dobrobyt, jak sądzą jej naiwni wyznawcy. Nie jest to też stan natury religijnej, jak „zbawienie”, który wyznawcy mogą osiągnąć, lub zapewnić innym przez dokonanie odpowiedniego rytuału. W latach 20. poprzedniego stulecia był taki „postępowy” chiński generał, socjalista i baptysta, który polecił ochrzcić swe oddziały ustawione na placu apelowym wodą święconą z sikawki strażackiej pod komendą pastora. W gruncie rzeczy bardzo podobnie myśleli politycy zachodni, którzy zarządzili wprowadzenie demokracji w umęczonym wojnami domowymi Kongu przez odbycie „demokratycznych wyborów” pod nadzorem zachodnich obserwatorów i oddziałów policyjno-wojskowych (za gigantyczne pieniądze!).

Oczywiście wybory te niczego nie zmieniły w tym kraju, bo zmienić nie mogły w tamtejszych warunkach, a jedynie do starych konfliktów dołożyły nowe. Nie było tam przecież jednego narodu utożsamiającego się z państwem,

lecz skłócone ze sobą ludy i plemiona walczące o ziemię, zasoby, a nawet samo przeżycie. Jak mogła jakaś władza uzyskać legitymizację przez akt wyborczy, jeśli nie funkcjonuje porządek prawny? A sama koncepcja legitymizacji władzy dla większości mieszkańców brzmi podobnie abstrakcyjnie, jak dla mieszkańca Polski powiatowej buddyjski termin *nirvana*. Przecież to wszystko były pojęcia z innej cywilizacji! Podobnie z góry na porażkę były skazane wysiłki ekipy Goeore'a W. Busha zaprowadzenia demokracji w Iraku przez amerykańskie czołgi i wojska okupacyjne. Akurat demokracji nie da się żadnemu społeczeństwu narzucić siłą, jak dyktaturę. Ono musi samo jej chcieć, umieć i chcieć funkcjonować w ramach jej reguł oraz instytucji. Akceptować jej procedury i stosować się do nich, podobnie jak wartości, na których ustrój ten jest oparty i którym służy. A dodajmy, że te wartości wcale nie są uniwersalne, lecz są charakterystyczne dla jednej specyficznej cywilizacji – dla chrześcijańskiego Zachodu, i są produktem jego ewolucji. Nawet w krajach chrześcijańskich, ale o tradycji prawosławnej – wprowadzanie demokracji liberalnej natrafia na duże opory społeczne. Poza światem chrześcijańskim cała „teologia polityczna” demokracji jest nieznana i dość trudna do zrozumienia. Oczywiście różne instytucje demokratyczne mogą być wprowadzane ze względu na praktyczną użyteczność, albo też dla podniesienia prestiżu kraju w oczach dominującego wciąż Zachodu, nie zaś ze względu na nieprzyjmowane tam wartości.

Istnieją także pewne „warunki brzegowe” natury społecznej, bez których demokracja funkcjonować nie może. Do nich trzeba zaliczyć: dość jednorodne społeczeństwo *identyfikujące się z państwem*; nie może być ono podzielone na wojujące ze sobą plemiona, czy skłócone grupy etniczne, albo religijno-kulturowe traktujące zdobycie władzy w stolicy jako narzędzie ucisku i wyzysku grup konkurencyjnych. Aby takie dość jednorodne społeczeństwo się uformowało, musi istnieć zintegrowana gospodarka kraju, nowoczesny system komunikacji i transportu, jak też dość efektywny i powszechny system edukacji publicznej oraz informacji o sprawach kraju! Jak zwracał uwagę Samuel P. Huntington praktycznie wymaga to dość rozwiniętej gospodarki i pewnego poziomu dobrobytu. Dodajmy jeszcze, że kraj musi być zurbanizowany, z dość liczną klasą średnią, i musi mieć ustabilizowany porządek prawny, inaczej demokratyczne procedury nie zafunkcjonują! Niezbędne są także pewne struktury i nawyki społeczeństwa obywatelskiego. Nawet jednak w kraju dość rozwiniętym, ale z silnymi animozjami narodowymi, identyfikacja ze wspólnym państwem może być słaba czy wręcz może zanikać. Dobrym przykładem była Jugosławia, a ostatnio jest Belgia. Zaprowadzanie demokracji w kraju pozbawionym nawet wspomnianych powyżej warunków społecznych jest sadzeniem róż na Saharze! Muszą szybko zaschnąć! Natomiast tam, gdzie taka różyczka znajduje chociaż trochę żyznego gruntu i wody – może przetrwać, choć nie koniecznie będzie rozkwitała.

Demokracja wreszcie to pewien „stan dynamiczny”: system jakiegoś kraju może podlegać demokratyzacji, albo demokratyczność jego może ulegać erozji wraz z jego oligarchizacją, przejmowaniem władzy przez populistów, rosnącą rolą tajnych służb, itd. Mamy zatem dzisiaj dziesiątki krajów w różnym stopniu i w różnych formach demokratycznych i dziesiątki również w różnych formach i w stopniu niedemokratycznych. Nie ma ostrego podziału, jak w religii na „zbawionych” i „potępionych”, i nigdy nie jest możliwy całkowity przeskok od jednej skrajnej formy do drugiej. I nie jest wcale prawdą, że obywatele kraju demokratycznego zawsze żyją lepiej i są szczęśliwsi niż w monarchii absolutnej, czy jakimś systemie autorytarnym. Wiele niezachodnich społeczeństw nie interesuje się polityką i nie odczuwa potrzeb uczestnictwa w niej. Skoncentrowanie na polityce jest pewną specyficzną cechą kultur zachodnich.

Demokracja musi więc być zawsze rezultatem rozwoju wewnętrznego i zaspakając miejscowe potrzeby oraz aspiracje. Na pewno nie da się jej wprowadzić czołgami i bombardowaniami, i nie da się jej wmusić naciskami, jak dawniej mamy wmuszały tran swoim dzieciom. Samo usunięcie dyktatury, jak pokazuje dobrze przykład Iraku, też zupełnie nie wystarcza dla jej automatycznego rozwoju. Nie wystarczy grupka zapatrzonych w Zachód zokcydentalizowanych entuzjastów, a tym bardziej kilkuset emigrantów wracających z Zachodu i chcących do kraju przywieźć zagraniczne nowinki, które poznali zagranicą, by wprowadzić w kraju demokrację. Próby zmuszania z zagranicy elit kraju nie dojrzałego do demokracji prowadzi do poważnych kryzysów wewnętrznych, a nawet wojen domowych: przykładami mogą być Algieria, tereny pod zarządem Palestyńczyków czy Pakistan.

Dotychczasowe doświadczenia różnych krajów Azji z wprowadzaniem demokracji są niejednoznaczne. Oficjalna propaganda jakiegoś kraju i jego skutecznie upowszechniane „demokratyczne *image*” – to jedno, a realia polityczne – to zupełnie co innego. Świetny socjolog japoński, Yoshio Sugimoto, analizuje np. Japonię jako kraj „autorytaryzmu przyjaznego ludziom”, czy może dokładniej opiekuńczego, albo paternalistycznego, można się zgodzić, że z pewnymi elementami demokratycznymi. I trzeba pamiętać, że ponad pół wieku rządziła tam jedna partia, przy regularnie odbywanych wyborach. Podobnie wcale nie jednoznaczna jest sytuacja Indii. Teoretycznie i fasadowo istnieje tam demokracja, ale przecież mimo przyjęcia zachodniego typu porządku konstytucyjnego funkcjonują kasty, a obywatele wcale nie są sobie równi! Władze prowadzą politykę sprzeczną z wartościami demokratycznymi, a przemoc odgrywa wciąż kolosalną rolę w życiu politycznym. Pamiętać trzeba choćby o przeprowadzaniu wyborów tylko w poszczególnych stanach, by mogło zapewnić jakie takie bezpieczeństwo sprowadzone tam na wybory wojsko.

Podstawowym błędem Zachodu jest utożsamianie wypracowanych przezeń konkretnych kulturowych i historycznych *form* demokracji z samą demokracją.

Jej podstawowe zasady mogą być realizowane w różnych formach, a żeby były akceptowalne i mogły realnie funkcjonować *muszą zostać dostosowane do miejscowych warunków i tradycji*. Nawet chrześcijańscy misjonarze zrozumieli bardzo szybko, że nie da się nauczyć modlitwy o „chleb powszedni” tam, gdzie chleb nie jest znany! Więc Eskimosi modlili się o rybę suszoną, Chińczycy o ryż, a Papuaszi o taro. Nasi dzisiejsi misjonarze demokracji usiłują zaś koniecznie narzucać nasze formy w krajach, gdzie zupełnie nie pasują, jak te słynne brytyjskie peruki sędziowskie w tropikalnej Afryce, jakby to była „istota praworządności”! A demokracje mogą być różne i wcale te odmienne od modelu anglosaskiego nie muszą być gorsze!

Pamiętać też trzeba o jeszcze jednym: to dziewiętnastowieczni myśliciele wykombinowali postęp i konieczność marszu całej ludzkości europejską drogą. Francis Fukuyama, który wieścił „koniec historii”, gdyż ludzkość osiąga już najwyższy możliwy poziom swego rozwoju – zachodnią demokrację liberalną – był ich dziedzicem i bezwiednym naśladowcą komunistów, którzy swój ustrój ogłaszali „najwyższym stadium” zapewniającym ogólną szczęśliwość! Dzisiaj chyba tylko w Polsce jego koncepcje są przyjmowane tak szeroko wśród elit. Pod nawałą krytyki i kpin, a także w obliczu o wiele bardziej skomplikowanych realiów, nawet sam Fukuyama uznał poprzednie koncepcje za błędne. Rozwój ludzkości idzie różnymi drózkami i wcale nie musi zmierzać do jednego celu przez te same szczeble! S. N. Esenstadt dotychczasowe doświadczenia różnych modernizacji wielu krajów uogólnił w koncepcji „wielorakich nowoczesności” (*multiple modernities*).

Nawet na Zachodzie coraz więcej wybitnych specjalistów wieści, że systemy demokratyczne się przeżywają i na ich zmianę przychodzą „układy sieciowe”, „menadżerskie”, „demokracje komunikatywne” czy „konfucjańskie” inspirowane z Azji. Popularność zdobywają koncepcje, iż tzw. „konsensus waszyngtoński” się przeżył, a popularność w świecie zdobywa „konsensus pekiński”. Ten pierwszy miał polegać na demokracji liberalnej i kapitalizmie wolnorynkowym opartym na własności prywatnej, ten drugi na „miękkim autorytaryzmie” i kapitalizmie o kontrolowanym rynku i z dużą rolą państwa, niektórzy badacze mówią wręcz o „kapitalizmie państwowym” (patrz praca Stefana Halpera, *The Beijing Consensus*, Basic Books, New York 2010). Lata od rozpadu bloku sowieckiego do agresji na Irak były chyba szczytowym okresem dominacji Zachodu i jego koncepcji liberalnych, a klęski w Iraku i Afganistanie oraz ostatni kryzys gospodarczy zmieniają realia geopolityczne. Coraz większą rolę odgrywa Azja Wschodnia, a szczególnie Chiny i to tam przenoszą się centra rozwoju oraz biznesu. Nieprzypadkowo Chiny rejestrują już dziś więcej patentów niż Unia Europejska! I nie przypadkowo one stały się mekką nowoczesnej architektury.

W świetle tych stwierdzeń jest oczywiste, że Chiny, których kultura polityczna formowała się w innej cywilizacji - konfucjańsko-buddyjskiej – wcale nie są „skazane przez historię” na wprowadzenie wcześniej czy później

anglosaskiej demokracji liberalnej. Nie ma takich konieczności historycznych, a rozwijać się one mogą, i to szybko, innymi drogami niż Zachód, jak to już było od epoki neolitu!

Istotnie w Azji Wschodniej przyjmuje się do dziś inne koncepcje fundamentalne niż w Europie. My cenimy pluralizm i walkę i oba te elementy, podstawowe dla naszej demokracji, traktujemy jako podstawę „naturalnego porządku”. Uosobieniem tego jest wieczna walka sił Zła z siłami Dobra. W Azji Wschodniej przyjmuje się *dualizm komplementarny* Yin i Yang, sił męskich i żeńskich razem determinujący cykliczne przemiany. Walka, krytyka, opozycja, tym bardziej bunt, na czym opiera się nasza demokracja – tam są potępiane, ceni się natomiast jedność, harmonię, zgodę, współdziałanie i konsensus, a władzę się szanuje, nie krytykuje. Zamiast wzorca autonomicznej jednostki tam dominuje „podmiotowość grupowa” i „osobowość zależna”, a zamiast postrzegania rzeczywistości społecznej w kategoriach czyichś praw tam dominuje eksponowanie powinności społecznych. A już Leszek Kołakowski pod koniec życia wskazywał, że dobry i stabilny ład społeczny o wiele łatwiej zbudować na koncepcji powinności niż praw. Dodajmy, że „dobry porządek społeczny” jest tam wartością cenioną o wiele bardziej niż nasze wolności polityczne, prawa jednostki, czy swoboda ekspresji, jak pokazał David I. Hitchcock. Wyliczenie to można by ciągnąć.

Czy to jednak znaczy, że w Chinach nie będzie procesów demokratyzacji? One już przebiegają i to nader burzliwie. A co więcej: formują się dla nich podstawowe warunki obiektywne. Od trzydziestu lat wprowadza się tam nieznanego poprzednio zupełnie porządek prawny typu zachodniego i rodzi się klasa średnia. Przeogromny kraj zamieszkiwany przez ludność prawie tak liczną, jak cała Europa, Ameryka Północna i większa część Ameryki Łacińskiej jest wprawdzie nie mniej zróżnicowany niż te trzy kontynenty, ale się szybko, acz nierównomiernie, rozwija. Podczas gdy jedne jego kawałki osiągnęły już średni poziom rozwoju, inne pozostają nadal w zacofaniu. Siłą rzeczy różne są też wciąż aspiracje i możliwości ludzi. Demokratyczne przemiany występują tam w różnych formach i na różnych poziomach. Pewne ich elementy wprowadzał Deng Xiaoping już od początku lat 80. Wielkie demonstracje na centralnym Placu Tiananmen manifestujące sprzeciw wobec prowadzonej polityki zaczęły się jeszcze w 1976 r. za życia Mao, a demokratyczne nurty i tradycje przejawiały się tam od stuleci! Najbardziej fascynujące są przeobrażenia demokratyczne zachodzące na wsi chińskiej od połowy lat 80., a rzekomo tradycyjni chłopci walczą tam nieraz z lokalnymi klikami i z partyjnymi figurantami o wiele bardziej zdecydowanie i z większym zaangażowaniem niż w polskich wyborach samorządowych. Bardzo dynamicznie rozwija się społeczeństwo obywatelskie, choć jego wzorce i metody różnią się znacznie od zachodnich. Jak określał to Michael Frolic z Australii, dominuje tam kooperacja społeczno-państwowa, czyli „społeczeństwo obywatelskie kierowane przez państwo”. Ale podobnie jest w Japonii. Stale odbywają się też różne protesty.

Toczą się walki polityczne, jawne i ukryte. Coraz większa jest rola opinii publicznej i mediów. Trwają wielkie debaty inteligenckie o ustroju państwa oraz jego mankamentach, o tradycjach narodowych i stosunku do wzorców zachodnich.

Żaden jednak poważny badacz Chin nie zaryzykowałby precyzyjnych przepowiedni ku czemu one zmierzają. Raczej nie przejdą do zachodniego typu demokracji liberalnej w dającej się ogarnąć perspektywie, ale możliwe są inne warianty demokracji, podobnie jak jakichś nowocześniejszych ustrojów, o których się dopiero dyskutuje w Azji. A my przede wszystkim powinniśmy się wyzbyc naszej zachodniej arogancji, iż wiemy, jak każdy kraj urządzić najlepiej i że zaprowadzanie naszych zachodnich porządków jest upragnione przez Azjatów, bo nie jest. Nawet Japończycy coraz odważniej mówią o potrzebie powrotu do swoich tradycji azjatyckich, stylu życia i wartości. I nikt nie może z pewnością twierdzić, że nowoczesność azjatycka nie stanie się z czasem atrakcyjna także dla nas, przynajmniej w pewnych aspektach. Chyba, że będziemy nadal wierzyć, że do przewodzenia całej ludzkości predestynował nas sam Bóg albo Historia.